

Oswili się z ciemnością, a światło księżyca dygotało z poza zakrywających go chmur, spostrzegłem, że stało przy mnie dwóch czarnych marynarzy, czarny kucharz i mój współtowarzysz podróży Goring. U stóp mych, na pokładzie, leżał jakiś człowiek, lecz nie mogłem w ciemności rozpoznać rysów jego twarzy. Wszystko to stało się tak szybko, że od czasu kiedy wyszedłem za przewodnikiem do chwili, kiedy znalazłem się bezsilny i zakneblowany na pokładzie okrętu, nie upłynęła nawet minuta. Z trudnością mogłem zebrać myśli i uzmysłowić sobie, co to ma znaczyć. Słyszałem, że cała szajka porozumiewa się z sobą krótkimi urwanymi szeptami, i jakiś instynkt mówił mi, że chodzi tu o me życie. Goring mówił rozkazująco i gniewnie, inni z pokorą, lecz jakby roztrząsając jego rozkazy. Potem ruszyli wszyscy ławą na drugą stronę statku, gdzie wciąż słyszałem ich szept, chociaż zasłona jadalni ukryła ich przed memi oczyma.

Przez cały ten czas słyszałem wyraźnie głosy i śmiechy straży pokładowej na drugim końcu okrętu, która zebrana w grupkę daleką była od przypuszczenia, jak straszny dramat rozgrywa się o trzydzieści jardów od niej. Och! gdybym mógł ostrzec ją jednym słowem, nawet za cenę własnego życia! Lecz było to niemożliwe. Księżyc przeglądał kapryśnie przez postrzępione chmury i mogłem widzieć srebrzysty blask fali morskiej a dalej niezmierną, pustynną równinę z jej fantastycznymi wzniesieniami piasku. Spuściłem oczy na leżącego wciąż na ziemi człowieka, a kiedy tak na niego patrzyłem promień księżycowego światła padł na odwróconą do góry twarz. Wielkie nieba! Nawet dziś, po upływie więcej niż dwunastu lat, ręka moja drży gdy to piszę; mimo zmienionych rysów twarzy i wysadzonych na wierzch oczu, poznałem Hartona, wesołego młodego urzędnika, który był moim towarzyszem podróży. Na pierwszy rzut oka przekonałem się, że już nie żyje a okręcona dokoła jego szyi chusika i knebel w ustach wskazywały milcząco na sposób, w jaki te psy krwiożercze dokonały swego dzieła. Rozwiązanie, łomaczce każdy szczegół podróży uprzytomniłem sobie w jednej chwili, błyskawicznie, patrząc na ciało biednego Hartona. Wiele rzeczy było mi jeszcze niejasnych, lecz przeczuwałem już okrutną prawdę. Usłyszałem trzask zapalnika na drugiej stronie okrętu i ujrzałem wysoką kościstą postać Goringa, który stał na burcie i trzymał w rękach coś w rodzaju ślepej latarki. Opuścił ją na chwilę ku dołowi i ku niezmiernemu memu zdziwieniu spostrzegłem odpowiadające jej momentalnie światło między wydmami piasku na wybrzeżu, które ukazało się i znikło tak prędko, że nigdyby mi nie wpadło w oczy, gdybym nie patrzył w stronę, w którą zwrócił się Goring. Znowu podniósł latarkę i znowu odpowiedziało jej światło z wybrzeża. Zstąpił teraz z burty, przyczem poślizgnął się z wielkim hałasem; przez chwilę serce me drżało w nadziei, że warta zwróci uwagę na jego poczynanie. Próżna nadzieja! Noc była cicha; na statku żadnego szmeru, tak że straż nie uważała za stosowne nawet czuwać. Hyson, który dowodził po śmierci Tibbsa obu strażami zeszedł na dół na kilka godzin drzemki a bosman, mający służbę, stał z dwoma ludźmi u stóp przedniego masztu. Bez sił, z zakneblowanymi ustami, skrepowany sznurami, wpijającymi się w ciało i w towarzystwie zamordowanego u mych stóp oczekiwałem następnego aktu tragedji. Człerech zbrodniarzy stało teraz na drugim końcu pokładu. Kucharz uzbroidł się jakimś tasakiem, inni mieli noże a Goring dźwżył rewolwer. Przechylając się przez oparcie patrzyli wszyscy na wodę, jakby oczekując czegoś. Ujrzałem, że jeden z nich uchwycił drugiego za ramię i wskazał mu jakiś przedmiot a kiedy zwróciłem oczy w tym kierunku, spostrzegłem jakąś czarną wielką masę, zdążającą ku okrętowi. Wynurzyła się z cienia i rozeznałem kształty wielkiej łodzi, wypełnionej ludźmi i pędzonej przynajmniej przez dwadzieścia wiosł. Podpłynęła do statku i wówczas dopiero spostrzegła ją także i straż, która z okrzykiem rzuciła się w tył. Było jednak już zapóźno. Chmara olbrzymich negrów wdarła się na pokład i prowadzona przez Goringa rozlała się niepowstrzymanym potokiem. Wszelki opór stłumiono w zarodku, bezbronną straż obalono i związano a śpiącą załogę, wyciągniętą z łóżka ubezwładnioną została w ten sam sposób. Hyson usiłował bronić wazkiego przejścia do swej kabiny;

słyszałem jego głos, wzywający pomocy. Pomocy jednak nie było. Przeprowadzono go na tył okrętu, krwawiącego z głębokiej rany ciętej na czole. Zakneblowano mu usta, jak innym. Murzyni zaczęli się teraz naradzać nad naszym losem. Widziałem, że nasi czarni majtkowie wskazywali na mnie, opowiadając coś, przy czem słowom ich towarzyszyły szmery zdumienia i niedowierzania ze strony dzikich. Jeden z nich podszedł do mnie i wsadziwszy mi rękę do kieszeni wydobyl z niej czarny kamień i podniósł go w górę. Później wręczył go człowiekowi, który był zdaje się ich dowódcą i który oglądał go drobiazgowo, o ile to się dało przy lichym świetle uskutecznić i który mrużąc coś pod nosem, podał go stojącemu obok wojownikowi; ten również przypatrywał się kamieniowi badawczo i wręczył go drugiemu z kolei, aż obszedł cały krąg, podawany z rąk do rąk. Naczelnik rzekł teraz kilka słów do Goringa w swem narzeczu, poczem metys przemówił do mnie po angielsku. Do tej chwili scena ta stoi mi przed oczyma. Wysokie maszty statku w promieniach księżycowego światła, z ich linami i rejami, rysującymi się ostro na srebrzystem ile, tłum czarnych wojowników wspartych na włóczniach, trup u moich stóp, szereg białych więźniów, a naprzeciw mnie przeniewierczy mieszaniec, tworzący w swych wytwornych sukniach dziwny kontrast z resztą współbraci.

„Biorę pana za świadka“, — rzekł z swym rajsłodszyim akcentem — że jestem przeciwny darowaniu panu życia. Gdyby to tylko odemnie zależało, umarłbyś, tak jak ci tutaj pomrą. Nie żywię osobiście przeciw żadnemu z nich specjalnej niechęci, poświęciłem jednak życie swe sprawie zniszczenia białej rasy i pan byłby pierwszym, którego miałem w swych rękach i który wymknąłby mi się żywy. Zawdzięczasz ocalenie swemu kamieniowi. Ci biedni ludzie oddają mu cześć, która rzeczywiście byłaby usprawiedliwioną, gdyby przypuszczenia ich się sprawdziły. Jeśli okaże się na wybrzeżu, że się mylą, i że kształt jego oraz materiał jest czystym przypadkiem, nic nie ocali Pańskiego życia. W międzyczasie obchodzić się będziemy z Panem dobrze, jeśli zatem pragniesz zabrać ze sobą coś z własnych rzeczy, masz Pan pełną swobodę. Skończył, dał znak i dwóch murzynów odwiązało mnie, aczkolwiek pozostawiono mi knebel w ustach. Sprowadzono mnie na dół do kabiny, gdzie schowałem kilka cennych przedmiotów do kieszeni razem z kompasem podręcznym i moim dziennikiem podróży. Spuszczono mnie później przez burłę do małej łodzi, która stała opodal drugiej, większej; strażnicy moi wsiedli za mną i odbiwszy od okrętu skierowali się ku brzegowi. Oddaliliśmy się już ze sto jardów od statku, kiedy prowadzący łódź podniósł rękę, a wiosłarze przystanęli na chwilę, nadstawiając uszu i wtedy wśród ciszy nocnej usłyszałem jakiś głuchy jęk, a za nim plusk wody. To wszystko co wiem o losie mych biednych towarzyszy z okrętu. Wkrótce potem podpłynęła do nas duża łódź i statek pozostał w tyle na łasce fal — smutny, bezduszny kadłub. Dzicy nie tknęli na nim niczego. Całe to wrogie przedsięwzięcie przeprowadzono z takim spokojem i dokładnością, jakby jakiś ceremoniał religijny.

Z szarym brzaskiem dnia przebyliśmy linię fal u wybrzeża i dobili do lądu. Przy łodziach pozostało sześciu ludzi, reszta murzynów natomiast ruszyła poprzez wydmy piaszczyste wiodąc mnie z sobą, lecz odnosząc się do mnie z łagodnością i respektem. Pochód był trudny; zapadaliśmy po kostki w piasek, rozrzucając go na wszystkie strony, przy każdym kroku. Byłem też śmiertelnie znużony, kiedy dotarliśmy do osady, a raczej, sądząc po jej rozmiarach, do miasta tubylców. Domy miały kształt stożków, nieco podobnych do uli, a zbudowane były z ubitego silnie muru, zaprawionego czemś w rodzaju cementu w braku drzewa lub kamieni, których nie było w promieniu wielu setek mil. U wejścia do miasta ogromny tłum ludzi obojga płci wyszedł na nasze spotkanie, bijąc w tam-tamy, z wyciem i nawoływaniem. Na mój widok podnieśli jeszcze głośniejsze okrzyki i przybrali groźną postawę, lecz kilka słów wypowiedzianych przez mą eskortę, uśmierzyło wrzawę natychmiast. Szmer podziwu nastąpił teraz po wojennych okrzykach i wyciach i cała gęsta ciżba ruszyła naprzód szeroką, główną ulicą miasta, otaczając dookoła mnie i moją eskortę.

Sprawozdanie moje wydać się może od tej chwili tak dziwnem, że wzbudzi wątpliwość

u ludzi, którzy mnie nie znają, przychodzę bowiem teraz do opisanja faktu, który stał się przyczyną poróżnienia się mego ze szwagrem, zarzucającym mi kłamstwo. Przedstawię zdarzenie w niewyszukanych słowach i przypadkowi oraz czasowi pozostawię stwierdzenie jego prawdziwości. W połowie głównej ulicy stała szeroka budowla, zbudowana w ten sam prymitywny sposób, co inne, lecz przewyższające je wielkością; otaczał ją parkan z ślicznie wypolerowanych prętów hebanowych. Obramienie drzwi tworzyły dwa wspaniałe kły słoniowe, zasadzone w ziemię i stykające się u góry, a wejście zakryte było zasłoną z miejscowego sukna, przetykanego złotem. Zwróciliśmy kroki nasze do tego imponującego wyglądem budynku, lecz z otwarciem balustrady tłum zatrzymał się i pochylił z czcią, ja zaś wprowadzony zostałem do środka przez kilku naczelników i starszych plemienia, w towarzystwie Goringa, który wszystkiem kierował. U wejścia do świątyni — bez wątpienia bowiem była to świątynia — zdjęto mi kapelusz i buty, poczem wprowadzono do wnętrza; pochód otwierał poważny, stary murzyn, trzymając w swej dłoni kamień, wyjęty z mej kieszeni. Promienie podzwrotnikowego słońca wdierały się do wnętrza budynku przez kilka długich szpar w suficie, rzucając na glinianą podłogę szerokie pasma złotawego światła, pooddzielane od siebie smugami cienia. Wnętrze było obszerniejsze, niż się zdawało z pozoru. Na ścianach wisiały maty miejscowej roboty, dzwonki i inne ozdoby, lecz sama przestrzeń była prawie pusta, za wyjątkiem jedyne go przedmiotu, który stał w pośrodku. Był to posąg ogromnego murzyna, który na pierwszy rzut oka wzięłem za jakiegoś króla lub wysokiego kapłana o herkulesowej budowie ciała, ale podszedłszy bliżej spostrzegłem w odbitem świetle, że była to tylko statua, precudownie wycięta w czarnym kamieniu. Podprowadzono mnie do balwana, za takiego bowiem musiałem go uważać i teraz dopiero spostrzegłem, że jedno jego ucho było odłamanem. Siwy murzyn, który dźwżył mą relikwię, wstąpił na mały stołek i wyciągnawszy ramię przyłożył czarny kamień do poszczerbionej powierzchni złamania z boku twarzy posagu. Nie było wątpliwości, że obie części musiały kiedyś stanowić jedną całość. Pasowały do siebie tak dokładnie, że kiedy starzec usunął rękę, ucho trzymało się samo przez się przez kilka sekund w swem ułożeniu, zanim nie spadło na jego otwartą dłoń. Otaczający mnie padli na ten widok twarzą na ziemię, oddając cześć balwanowi, podczas gdy tłum na zewnątrz zebrany, któremu zakomunikowano wynik próby, wydawał dzikie okrzyki radości.

W jednej chwili z niewolnika zmieniłem się w półboga. Przeprowadzono mnie z tryumfem przez miasto, a lud cisnął się, aby dotknąć mych szat i zebrać proch z miejsca, gdzie stanęła ma stopa. Oddano mi do rozporządzenia jedną z największych chat i przyniesiono najdelikatniejsze miejscowe potrawy. Czulem się jednak wciąż więźniem, u wejścia do mej chaty sterczało bowiem na straży kilku wojowników, uzbrojonych w dzidy. Przez cały dzień układałem plany ucieczki, lecz żaden z nich nie zdawał się możliwym do przeprowadzenia. Z jednej strony, aż do Timbaktu, rozciągała się wielka, bezwodna pustynia, z drugiej nie nawiedzane przez okręty morze. Im więcej się zastanawiałem, tem beznadziejniejszą wydawała mi się sytuacja. Nie przypuszczałem nawet jak bliskim byłam wyzwolenia.

Noc zapadła i krzyki negrów stopniowo zamarły. Leżałem rozciągnięty na posłaniu ze skór, które mi przyrządzono i zastanawiałem się nad moim przyszłym losem, kiedy do chaty wślizgnął się Goring. Pierwszą moją myślą było, że przybywa dopełnić morderczej ofiary i usunąć ostatniego żywego świadka, zerwałem się tedy na równe nogi, zdecydowany bronić się do ostateczności. Uśmiechnął się widząc to i dał znak, abym spoczął, a sam usiadł na drugim końcu posłania.

— Co pan o mnie sądzi? Tem zdumiewającym zapytaniem rozpoczął swą mowę.

— Co sądzę? — ryknąłem. — Uważam pana za najdzikszego, najprzewrotniejszego renegata. Gdyby nie te czarne djabły, udusiłbym pana własnymi rękoma!

(Dokończenie nastąpi).